

Adam wyjrzał przez okno krakowskiego mieszkania. To co tam zobaczył, już na zawsze odmieniło jego życie.

Zwłaszcza, że miało trwać jeszcze tylko przez najbliższe 19 minut...

A scenic mountain landscape with a sunburst effect. The sun is shining brightly from behind a mountain peak, creating a lens flare across the sky. The mountains are covered in dense green vegetation, and a stream flows through the foreground. The text "Հեստի" is written in a stylized white font with a black outline, and "Զորմանք 2020" is written in a stylized red font with a black outline.

Հեստի

Զորմանք 2020

Nie tak to miało wyglądać. Ale w tych okolicznościach gdybanie nie miało żadnego znaczenia. Za oknami mieszkań, domów i biurowców Krakowa trwał koniec świata, przez wielkie N i jeszcze większe T. I, przy całej grozie, trzeba przyznać, że wyglądał pięknie w promieniach słońca chowającego się za klasztorem na Bielanych, który...

Może od początku.

Gdyby po tym wydarzeniu ostali się jacyś skrybowie, a także dociekliwi badacze, to doszliby do wniosku, że koniec zapoczątkowały słowa pani Anastazji, lat 80, mieszkanki kamienicy przy ulicy Rękawki (niedaleko Rynku Podgórskiego, piękna okolica, gdyby świat wciąż istniał – polecam!). Słowa te brzmiały, skąd inąd, mało oryginalnie w tej sytuacji:

- Koniec świata, no koniec świata!

Emerytka rzuciła je głosem pełnym oburzenia w chwili, kiedy wracając z porannej mszy natknęła się na dwóch chłopaków.

Powiecie, normalna rzecz – bardzo często w różnych miejscach można wpaść na dwóch chłopaków: a to w parku, a to na boisku, tramwaju, w kolejce do food trucka. W tym jednak przypadku pani Anastazja wpadła na dwóch chłopaków którzy, wiedzeni chyba wiosennym tchnieniem kwietnia, okazywali sobie czułość w postaci długiego pocałunku.

Dla pani Anastazji, przywiązanej do tradycji i swoich przekonań, ten obrazek bardzo, bardzo nie przypadł do gustu. Jednak co 80-letnia babuleńka mogła zrobić więcej niż tylko wyrzucić z siebie całkiem doniosłym głosem:

- Koniec świata, koniec świata!

i pójść dalej, by jak najszybciej wyminąć gorszące ją sceny i zaszyć się w bezpiecznym mieszkaniu, z dala od tej tolerancyjnej Sodomy i Gomory...

Pani Anastazja dotarła do drzwi swojej kamienicy. Drżącymi rękami wyjęła z małej torebki klucz i je otworzyła. Zrobiła krok w głąb budynku i wtedy usłyszała charakterystyczne stukanie po schodach. Nie mogła tego pomylić z czymkolwiek innym – to z góry, podpierając się laską, schodziła Jadzia Kruszyńska, jej sąsiadka i, jeśli tylko nie były pokłócone, oddana przyjaciółka.

Pani Anastazja nawet ucieszyła się. Będzie mogła od razu przed kimś skanalizować swoje święte oburzenie sytuacją, której świadkiem była! A, co najważniejsze, z Jadzią (jeszcze raz podkreślając: jeśli nie były pokłócone) miały dokładnie takie same poglądy i tak samo spoglądały na świat.

A że nie były pokłócone, więc...

Jadzia wyłoniła się zza barierki.

- Dzień dobry, pani Kruszyńska – pierwsza odezwała się Anastazja. – Nie wie pani, co ja przed chwilą widziałam... - uznała, że to, co chce powiedzieć ma taką moc, zwłaszcza sprawczą, że musi to wyrzucić z siebie od razu, nawet nie oczekując na odpowiedź Jadzi. – Tam, dwie klatki od nas, dwóch, wie pani, pedałów się całowało, wyobraża to pani sobie, chłop z chłopem...? – trąkotała, tylko patrząc na sąsiadkę.

Ale nie widząc.

Bo gdyby widziała zauważałyby, że Jadzia ma naprawdę dziwny wyraz twarzy (i nawet nie związany z tym udarem, który miała kilka lat temu): trochę nieobecny, ale bardzo szczęśliwy.

Dokuśtykała do pani Anastazji, która cały czas wyrzucała z siebie oburzenie. Stała przed nią i uśmiechnęła się nieznacznie.

- ...o, ja sobie pogadam z tą Ćwieciakową, bo jak się nie mylę, jeden to był jej wnuczek, sodomita, no jak tak można, chłop z... - perorowała Anastazja. Urwała w momencie, kiedy Jadzia nachyliła się do niej... i z pasją pocałowała prosto w usta.

Anastazje замуrowało – zwłaszcza, że pocałunek ten trwał... No trwał bardzo długo, dłużej to chyba tylko jakoś po wojnie całowała się z tym całkiem sympatycznym radzieckim oficerem, a potem to nawet jej świętej pamięci Ryszard się do tego nie zbliżył...

Zaraz jednak myśli wróciły na właściwy tor – a prowadził on do autentycznego przerażenia sytuacją, wyrwania się z miłosnych uniesień sąsiadki i krzyku:

- Jadźka, co z tobą?!

Kruszyńskiej to nie zdemotywowало, wręcz przeciwnie. Uśmiechnęła się całkiem zalotnie, jakby wcale nie była rok młodsza od Anastazji, tylko co najwyżej zaczynała liceum, i to jeszcze przed wojną.

- Od dawna... Od dawna chciałam ci to powiedzieć: kocham cię – szepnęła, zbliżając się do Anastazji.

- Jadźka, co ty... – kobieta zrobiła krok w tył, a potem kolejny i jeszcze kolejny. Jej sąsiadka wciąż napierała. – Jadźka, może złe leki zażyłaś?!

- Nie, wszystko tak jak lekarz przepisał – szepnęła Kruszyńska. W tym momencie Anastazja poczuła, że trafiła plecami na ścianę. – Kocham cię, Natka. Kocham...

Tego było już dla Anastazji za wiele. Jeszcze przed chwilą pałała oburzeniem jak dwóch młodych się tak obściskuje, a teraz jej najlepsza przyjaciółka...?

I w tej chwili mogła zrobić tylko jedną, jedyną rzecz. Zanim Jadźka znów ją pocałowała, udarła się:

- Luuudzie, koniec świata, koooooniec świata!!!

Nawet nie wiedziała, jak bardzo trafiła.

Podobnie jak spadające petunie na jej głowę, zrzucone przez Ćwieciakową chwilę później, kiedy z Jadźką wypadły przed blok.

W innej części Krakowa, gdzieś pomiędzy Ikeą a Balicami, otworzył oczy Bartosz, student trzeciego roku informatyki na AGH. Przeciągnął się, potem odruchowo wziął do ręki telefon i zaczął skrolować swoją tablicę na Facebooku. Od wczorajszego wieczoru nie wydarzyło się chyba nic, co by bardziej przykuło jego uwagę. Jasne, polajkował kilka zdjęć dziewczyn, które mu się podobały, do specjalnego folderu zapisał dwa, którym chciał się *przed snem* dokładnie przyjrzeć, a w trzech grupach siedem postów skomentował krótkim LOL lub HEH.

W końcu zdecydował się wstać. Odłożył telefon i wygrzebał spod pierzyny. Na mieszkaniu, wynajmowanym razem z trójką innych kolegów, było cicho. I właśnie dlatego bardzo lubił wstawać przed nimi - gdyż miał tę ciszę tylko i wyłącznie dla siebie.

Wyszedł do łazienki, tam się szybko ogarnął. Poszedł do kuchni, wstawił wodę na herbatę, a potem wrócił do pokoju po telefon. Zabrał go ze szafki i przeszedł ponownie do kuchni. Tam smartfon rzucił na mały stolik, a sam wyciągał jakieś resztki jedzenia z lodówki.

Woda zagotowała się z cichym sykiem. Bartosz wziął czajnik i zalał sobie zieloną herbatę, którą dostał jeszcze pod choinkę. Potem posmarował kanapki masłem, rzucił na nie ostatnie i chyba nie najświeższe, ale wciąż zdatne do spożycia plasterki szynki, po czym zabrał się do jedzenia. Rzecz jasna – z telefonem w ręku.

Znów skrolował swoją tablicę. Od momentu kiedy robił to z rana przybyło trochę postów - między innymi nagłówek jednego z prześmiewczych fanpageów komentujących szeroko rozumiane Internety. Brzmiał on mniej więcej tak: „SISOTRY MAŁECKIE” ODZNACZONE PRZEZ PREZYDENTA I WYDAJĄ PŁYTĘ Z PIEŚNIAMI PATRIOTYCZNYMI. ORZEŁ Z GODŁA NA WIEŚĆ O TYM ZNIÓSŁ JAJO NA TWARDÓ!

Bartosz parsknął śmiechem i kawałkiem kanapki widząc ten tytuł. Taaak, siostry, nawet jak same o sobie mówią, „sisotry” Małeckie, trzy dziedziczki fortuny rodziców, których IQ łącznie oscylował w okolicach 100 punktów, ale mające (podrasowane) to i owo i wciąż zalewające net tymi swoimi dennymi próbami nagrania czegoś konkretnego... A do tego jeszcze ta chora akcja z Powstańcami którą odwały na początku roku, a która tak bardzo się spodobała rządzącym, że...

W tym momencie Bartosz nie wytrzymał i z dużą dozą ironii rzekł:

- Koniec świata, no koniec świata!

A potem... wrócił do przeglądania fejsa.

Pięć godzin później już nie żył, przygnieciony spadającym fortepianem.

Ale to już były tylko nieuniknione konsekwencje. Prawdziwe przyczyny działały się wcześniej. O, jak choćby przygoda Anki i Maćka, młodego małżeństwa z Borku Fałęckiego. Już za czasów narzeczeństwa mieli wspólny zwyczaj, że niedzielne poranki spędzali wspólnie oglądając seriale w internecie. W ten sposób nadrobili bardzo wiele tytułów, na które normalnie nie mieli czasu/nawet by nie zwrócili uwagi. Tradycji tej nie zaniechali nawet po ślubie.

I tak też było tego poranka – po przebudzeniu wspólnie przygotowali śniadanie, przenieśli je do sypialni, gdzie potem, na dużym telewizorze (prezent ślubny) oglądali kolejne, a dokładnie finałowe odcinki finałowego sezonu pewnego popularnego serialu z finałem w tytule.

Powiedzieć, że bardzo na to czekali, to jak nic nie powiedzieć – produkcja rozpalala nie tylko ich wyobraźnię, ale też widzów na całym świecie. I każdy chciał wiedzieć, jak to się skończy.

Dwa odcinki później (tak, finał był dwuczęściowy) ostatnie napisy tyłówki mignęły im przed oczami, jednocześnie udowadniając teorie fanów snute przez tygodnie, że nie ma scen po napisach.

- Świat się chyba kończy, skoro nawet dobrego finału nie umieli zrobić! – Anka nie kryła oburzenia jakością oraz rozwiązaniem całej fabuły.

Maciek nawet nie odpowiedział. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, jak oni mogli uśmiercić głównego bohatera eksplodującym granatem w kiblu.

Cztery godziny później nie mógł uwierzyć, że Anka, która zazwyczaj bała się krwi i mdlała na jej widok, z szaleńczym śmiechem robiła mu trepanację czaszki.

Także na Bronowicach nie było spokojnie w okolicach 9 rano. W jednym całkiem modnym mieszkanku, w całkiem nowym bloku przed komputerem siedziała Justyna i łkała do kamery, bardzo rzewnymi łzami. Nawet tak płacząc, była bardzo piękną, młodą kobietą – z czego zdawała sobie sprawę już wcześniej. I co potrafiła przekuć w zysk – na Instagramie miała wystarczającą i ciągle rosnącą ilość followersów, tak by być zauważoną i rozchwytywaną przez reklamodawców do promowania ich produktów. Z czego skwapliwe korzystała.

Tak było do dziś rana.

Bo wtedy odkryła, że Instagram w końcu rozgryzł jej drobną, acz bardzo opłacalną machlojkę (której nauczyła się od jednego ze swoich ex). Serwis postanowił nie cackać się z dziewczyną, tylko... momentalnie skasował jej całe konto.

W przeciągu sekundy straciła wszystko.

Dlatego teraz siedziała przed laptopem i mając live'a na swoim kanale YouTube po angielsku łkała:

- Koniec świata... Koniec świata...

Niecałe dwie godziny później naga wybiegła z mieszkania, z urwaną nogą od krzesła i płonącym stanikiem zawiązanym na jej końcu, do tego wydając z siebie odgłosy niczym Xena, wojownicza księżniczka.

Czy spotkała swoją Gabrielle? Tego nie wiemy. Ale szlak spalonych budynków od Bronowic aż po Kopiec Kościuszki był raczej, a nawet na pewno jej dziełem.

Na Prokocimiu mieszkał tymczasem pan Sławomir. Jedyne, co łączyło go z celebrytą o takim imieniu, to było posiadanie Volkswagena Golfa. Oraz wąs – który jednak u naszego pana Sławka był o wiele, wiele okazalszy.

Pan Sławomir mieszkał w domku jednorodzinnym, już na obrzeżach Krakowa, praktycznie gdyby wyszedł przez furtkę i poszedł ścieżką rowerową, to tak po 300 metrach już byłby w Wieliczce. Jednak nie miasto solą i kopalnią słynące go interesowało w ten poranek, tylko coś o wiele, wiele bliższego.

Podwórko jego sąsiada, Nowaka.

Akurat tak się składało, że stojąc w swojej kuchni pan Sławomir doskonale widział podjazd domu obok. I jednocześnie wiedział, że sam pozostaje dla Nowaków niewidoczny. Dlatego ta lokalizacja służyła mu, nazwijmy to tak eufemistycznie, do prowadzenia zaawansowanych obserwacji oraz badań socjologiczno-ekonomicznych sąsiada i jego rodziny.

I tak też było w ten niedzielny poranek – a ściślej w momencie, kiedy pan Sławomir zauważył, że na podjeździe stoi nowy Passat TDI.

Jasne, dwa tygodnie temu słyszał przez płot rozmowę Nowaka i Nowakowej o kupnie nowego samochodu. Jasne, słyszał też inną wymianę zdań, kilka dni później, że auto jest już kupione, tylko poszło od razu do mechanika, żeby to i tamto naprawić.

Ale wciąż nie wierzył. Musiał zobaczyć.

I dziś ujrzał. Naprawdę ładnego, zadbanego i raczej nowszego niż starszego Passata. A wokół niego rodzinę Nowaków oglądających nabytek z nieukrywaną radością.

- Ja też bym takiego se kupił, jakbym tyle nakradł co ty somsiad – pan Sławomir pokręcił głową.
– Koniec świata, no koniec świata z tymi złodziejami...

Cztery godziny później pan Sławomir stracił życie, kiedy zawałiła się na niego ściana z telewizorami podczas plądrowania lokalnego sklepu AGD. A Nowakowie, niestety, zginęli wszyscy w Passacie, kiedy to meteoryt uderzył w samochód, a ten, jak na złość, nie odpalił...

Kiedys chyba robili lepsze te samochody, kurła...

Inny koniec świata zastał Rafała, wynajmującego razem ze swoim partnerem poddasze na Kazimierzu. Znaczą już wtedy byłym partnerem, od jakiś dwudziestu minut. Wtedy to Mietek ogłosił, że od dzisiaj zmienia się, że już kończy z tym grzesznym życiem. I patrząc prosto w oczy swego dawnego partnera oficjalnie przyznał, że teraz będzie takich jak on tępił.

Rafał był w szoku. Zwłaszcza, że jeszcze w nocy Mietek miał bardzo udany występ jako drag queen Adele w jednym z klubów... a rano już golił głowę na łyso.

Rafał nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje... Do tego stopnia, że odebrało mu głos w gardle.

I tylko jego oczy zdawały się krzyczeć: „Koniec świata, koniec świata!”

Jak zginęli? – nie wiemy. Ale z dużą pewnością można uznać, że w chwili kiedy cała dzielnica zapadła się głęboko pod ziemię...

I wiele, wiele innych końców świata zdarzyło się w ten dzień. Jaka była ich przyczyna? Dlaczego właśnie te nieszablonowe, a nie na przykład w postaci ataku kosmitów czy katastrofy naturalnej? O tym właśnie będzie mój serial... I co panie Adamie, jak się podobało? – zaszczebiotała Wiktoria.

- Noo... widzę potencjał, widzę potencjał – odpowiedziałem, jednocześnie schodząc na bok ścieżki, by przepuścić turystów idących z góry. Przez to moją nogę lekko obtarły rosnące blisko kosodrzewiny.

Ale szczerze? Miałem inne zmartwienia w tym momencie na głowie.

A dokładnie jedno. I, o dziwo, nie był to KOM.

Ale coś w jego stylu. Znaczą ktoś.

Cofnijmy się do poranka.

Zacząłem się od tego, że postanowiłem w tę niedzielę wyskoczyć w Tatry. Dawno nie było okazji, a pogoda zapowiadała się piękna. Pozbierałem szybko klamoty, wrzuciłem je do Poloneza i wspólnie pognaliśmy w stronę Zakopanego. Tam dotarliśmy do wlotu Doliny Małej Łąki. Na szczęście na parkingu byliśmy wczes, więc bez problemu trafiliśmy na wolne, zacienione miejsce, czym ograniczyłem znacząco narzekanie KOMa. I dzięki temu nawet mało podirytowany ruszyłem na szlak.

Początkowo jeszcze nie wiedziałem, gdzie pójdę. Dopiero, kiedy nucąc „Górą Ty”, dotarłem do Małej Łąki i ujrzałem wiszącą w niej poranną mgłę oraz słońce przebijające się przez zasłonę wiedziałem już, że ruszę wprost na Giewont, żółtym szlakiem (mogłem jeszcze

na przykład uderzyć na Małolączniak, albo ścieżką nad Regłami iść w prawo lub lewo, ale to śpiący rycerz wygrał).

Szło się dobrze. Dno doliny przeszedłem w spokoju, ciesząc się jesienną pogodą. Jednak, cóż, niedaleko pada problem od Adama.

Minąłem ostatnią połąć łąki i zacząłem podchodzić w górę, przez las. Szedłem nim sam, ciesząc się ciszą...

- AAAAAA!!!

...została gwałtownie przerwana przez kobiecy krzyk. Jak oceniłem, pochodził gdzieś ze szlaku nade mną.

Przystanąłem, aby sprawdzić, czy się nie przesłyszałem.

I wtedy usłyszałem go ponownie, jeszcze bardziej przeraźliwy.

Dlatego zerwałem się i popędziłem po kamieniach, w górę. Po dwóch minutach takiego sprintu (a uwierzcie, trochę to kosztowało mój organizm), wpadłem w bardziej zacienioną część szlaku. Właśnie w tym miejscu, z zarośli obok, dobiegł kolejny krzyk. A dodatkowo, nieco cichsze, odgłosy... „Final Countdown”?

Wskoczyłem w krzaki i bardzo gwałtownie wyhamowałem, można rzec, w ostatniej chwili, bowiem tuż za nimi był może nie za wielki, ale całkiem-całkiem solidny uskok w dół. Na jego spodzie, w korycie potoku, znajdowała się młoda kobieta, z ciemnymi, kręconymi włosami, tak do ramion. To ona krzyczała i próbowała wspiąć się na szlak, jednak co chwilę zjeżdżała w dół. I to właśnie z telefonu w jej ręce słyszałem piosenkę w, co ciekawe, kobiecym coverze. Nie miałem jednak za wiele czasu na zabawę w jurora z jakiegoś telewizyjnego talent show.

- Już pani pomagam! – krzyknąłem.

Zrzuciłem plecak, klęknąłem i podałem jej dłoń. Ona od razu chwyciła ją, ja zaś mocniej pociągnąłem, ona zaparła się o skarpę... i już po chwili stała koło mnie, ciężko oddychając.

- Z nieba... Z nieba mi pan spadł – sapiała, jednocześnie odgarniając niesforny, ciemny lok, który ciągle opadał jej do zielonych oczu.

- Jakim cudem się tam pani znalazła...

Las przeszył długi i mroczny pomruk. Kobieta wrzasnęła i rzuciła mi się na szyję. W ostatniej chwili złapałem rosnący obok świerk (jednocześnie wkładając łapę w ciekącą z drzewa żywicę), bo inaczej wspólnie runęlibyśmy do potoku.

- Niedźwiedź! – kobieta wyrzuciła z siebie przerażona.

Pomruk się powtórzył... a ja już wiedziałem, co tutaj się stało.

Chyba.

- Niech zgadnę, usłyszała to pani wcześniej, wystraszyła się i w tej panice trafiła tam na dół? – zapytałem spokojnie, czystą ręką delikatnie ją odsuwając od siebie.
- Pan jest detektywem?! – po jej słowach i minie absolutnie wiedziałem, że trafiłem.
- Czasem – odpowiedziałem z uśmiechem. – A to, co pani wzięła za pomruk niedźwiedzia, to tylko rykowisko.
- Rykowisko...? - szepnęła. – Znaczący że jelenie i sarny...?
- Ściślej to same jelenie, sarna to inny gatunek. Więc naprawdę, nie ma czego się bać – uśmiechnąłem się przyjaźnie.

Kobieta przez chwilę trawiła, co powiedziałem... a potem wybuchła głośnym śmiechem.

- Głupia, głupia, głupia!
- Nie pani pierwsza. Ja też się kiedyś tak pomyliłem – powiedziałem.
- I też pan wpadł tam do potoku?
- Nie, na szczęście nie – odpowiedziałem, nie dodając, że wtedy wpadłem w niezłą kupę gnojówki, tak po kostki, bo ktoś... taki zielony... uznał, że to będzie bardzo, bardzo zabawne.
- Wiktoria – przedstawiła się.
- Adam – odwzajemniłem.

Zaczął się miło, tak? Potem okazało się, że zmierzamy w tę samą stronę, więc Wiktoria zaproponowała, że będzie mi towarzyszyć. Zgodziłem się, bo nic nie zapowiadało tego...
...że jak docieraliśmy na Kondracką Przełęcz, miałem jej serdecznie dość. Nie po to zostawiałem KOMa na dole, by teraz wpaść na jego ludzką wersję!

Wiktorii nie zamykały się usta. Wciąż gadała. I gadała. I gadała... W pewnym sensie byłem pełen podziwu dla jej płuc, że jest w stanie łączyć to ze wspinaczką górską. Ale tylko pod tym względem czułem podziw.

Opowiadała mi o wszystkim jak leci: o całym swoim życiu, o przeszłości, przyszłości, o teraźniejszości – chociażby o planowym serialu, który miałyby dotyczyć nietypowych końców świata. I akurat właśnie ta opowieść dobiegała końca, kiedy znaleźliśmy się na Kondrackiej Przełęczy.

Uznałem to za swoją szansę.

- Widzi pan potencjał? Świetnie! A ogólnie właśnie ta piosenka, co to chciałam miśka nią przepędzić, „Final Countdown” w coverze Luny, miałyby być w czołówce i...
- To gdzie teraz pani idzie? – wbiłem się w jej potok słów. Niby tak delikatnie, ale celnie.
- Na Giewont, zawsze chciałam go zobaczyć! – zaszczebiotała, wskazując na charakterystyczną kopułę z krzyżem.

W duchu odetchnąłem bowiem już wiedziałem, co zrobię. I jak dobrze, że na początku rozmowy nie sprecyzowałem swojej trasy, o jak dobrze...

- Bardzo trafny wybór. Ja idę na Kopę Kondracką – pokazałem szczyt za moimi plecami.

Wiktoria jeszcze raz, bardzo wylewnie, podziękowała za pomoc, wspólną wyprawę, dodatkowo rzuciła że Wiola, jej współlokatorka, nie wiedziała, co straciła, a potem jeszcze raz zapytała o pomysł na serial...

10 minut później udało mi się od niej uwolnić. Odetchnąłem już realnie i żwawym krokiem ruszyłem szlakiem na Kopę Kondracką.

Spokój, w końcu spokój.

I tak idąc, i tak myśląc o tym i o tamtym, uderzyła mnie jedna rzecz: że tak właśnie chyba dla mnie wyglądałby nietypowy koniec świata – wypadnięcia na ludzką wersję KOMa, więcej, okazanie się, że wszystko dookoła jest KOMem.

- A najgorsze... – mruknąłem sam do siebie – ...że innego końca świata nie będzie – zacytowałem jeden z wierszy Czesława Miłosza.

- Paaanie Adamie, bo w sumie ja panu jeszcze o drugim sezonie nie opowiedziałam, a Giewont nie ucieknie! – usłyszałem za sobą głos Wiktorii.

Z wrażenia aż przystanąłem i jeszcze raz z największą boleścią, jaką dałem radę z siebie wykrzesać, rzuciłem:

- Innego końca świata nie będzie.

KONIEC

W ROLACH GŁÓWNYCH

*Wiktoria
Adam*

Oraz

Jesienne Tatry

SCENARIUSZ I REŻYSERIA

Skryba

GRAFIKI

*Astrotrain
NR Entertainment
Rider*

WYKORZYSTANO CYTAT Z WIERSZA

„Piosenka o końcu świata” autorstwa Czesława Miłosza

SPECJALNE PODZIĘKOWANIA

Pikowi za udostępnienie miejsca na serwerze

Oficjalna playlista serii Nasz Rider: 5000 dostępna [tutaj!](#)

NASZ RIDER - TYLKO W SERWISIE



NASZ RIDER: 5000

2 listopada 2006 roku w sieci zadebiutował [pierwszy odcinek](#) Naszego Ridera. Seria pomyślana raczej jako żart i jednorazowy projekt doczekała się 14 lat emisji, ponad czterdziestu własnych historii oraz... **5000 dni swego istnienia.**

11 lipca 2020 roku przygodom Adama i KOMa stuknęło 5000 dni!

A skoro liczba ta jest ważna dla całej serii
- w końcu jeden z dwóch głównych bohaterów to KOM 5000 -
uznaliśmy, że **taka rocznica musi być upamiętniona.**

A jak lepiej upamiętnić premierę pierwszego odcinka serii niż publikując...
nowe opowiadania! Dlatego powstała seria NASZ RIDER: 5000.

„Czesław” jest jej finałową odstoną.

Poprzednie dwie - „Pandostream” oraz „All You Need Is KOM”
są dostępne [tutaj](#).

PS.

- *Koniec świata, koniec świata – myślał sobie miś Miłosz ukryty za drzewami. Z dystansu obserwował jak Adam pomaga Wiktorii wyjść z potoku, a potem jak odchodzą i ona zaczyna gadać i gadać i gadać...*

Kiedy zniknęli, z fałd futra wyciągnął miniaturowy nadajnik. Włożył go do ucha.

- *Miłosz do bazy, Miłosz do bazy – mruknął, wcale nie jak niedźwiedź, ale całkiem elegancki agent brytyjskiego wywiadu.*

- *Tu D.A.N.I.E.L., słuchamy cię.*

- *Odwołać misję, powtarzam: odwołać misję. Na szlaku jest Adam Skupień. Może coś zauważyć.*

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

- *No koniec świata, jeszcze jego tu brakowało – w końcu ocenił D.A.N.I.E.L. – Zbieraj się, za chwilę otworzymy portal.*

- *Przyjęto – Miłosz potwierdził, po czym cicho i dyskretnie wycofał się w las...*



2020